ROK VI. CHICAGO, dnia 6 go WRZEŚNIA, 1888. **No. 36**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: | All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ll.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 6 września	Zacharyasza pr.	Drogowit.
Piątek, 7 września	Wigilia. Reginy panny.	Domosława.
Sobota, 8 września	Narodzenie NMP. Adryana	Radosława.
Niedziela, 9 września	16-ta po Św. Sergiusza.	Sobiebór.
Poniedziałek, 10 września	Imienia N. M. P.	Władybój.
Wtorek, 11 września	Piotra i Jacka mm.	Iścisław.
Sroda, 12 września	Tobiasza i Waleryana.	Radzimir.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XVI tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. XIV. od w. 1 do 12.

W owym czasie, gdy Jezus wszedł do domu jednego przedniejszego Faryzeusza w Sabbat jeść chleb, a oni Go podstrzegali. A oto człowiek niektóry opuchły był przed Nim. A Jezus opowiedziawszy, rzekł do biegłych w zakonie i Faryzeuszów, mówiąc: Godzili się w Sabbat uzdrawiać? Lecz oni milczeli. A On ująwszy uzdrowił go i odprawił. A odpowiadając rzekł do nich: Jeśli którego z was osieł lub wół wpadnie w studnię, czyliż wnet go nie wyciągniecie w dzień sobotni? I nie mogli mu na to odpowiedzieć. I powiedział też podobieństwo do zaproszonych, przypatrując się jako pierwsze siedzenia obierali, mówiąc do nich: Gdy będziesz wezwan na gody, nie siadajże na pierwszem miejscu, aby snadź poczciwszy nad ciebie nie był wezwany od niego, a przyszedłszy ten, który ciebie i onego wezwał, nie rzekł ci: Daj temu miejsce. Wtedybyś ze wstydem począł mieć ostateczne miejsce. Ale gdy będziesz wezwan, idź, usiądź na pośledniem miejscu, że gdy przyjdzie ten, który cię wezwał, rzecze tobie: Przyjacielu: posiądź się wyżej. Wtedy będzie tobie chwała przed społem siedzącymi. Bo wszelki, co się wynosi, zniżon będzie, a kto się uniża, wywyższon będzie.

SMOK W BRZUCHU.

(Historya ciekawa a pouczająca, która się gorzej zaczyna, niż kończy.)

Pan Alexander Farniencki (jakieś z włoska brzmiące nazwisko) zachorował nagle po obiedzie. Począł bardzo stękać, jęczeć, rzucać się na sofie, na której leżał, a przelękniona połowica krzykła na Joasię, aby co tchu biegła po doktora. Sama, jako dobra żona, siadła przy jęczącym i aż jej się miękko robiło, kiedy widziała takie straszne zawracanie ócz i grymasy na pulchnej fizyognomii małżonka. Doktor nadbiegł w tym momencie, bo był młody i niedawno w mieście osiadł. Mówiono o nim, że jeno spojrzy na chorego, już wie, zkąd zacząć kuracyą. Chory p. Alexsander kiedy usłyszał głos doktora, odważył się szeroko oczy otworzyć, w przekonaniu, że śmierć jeżeliby gdzieś w pobliżu była na widok doktora od łóżka pierzchnie.

— Co to, zapytał konsyliarz macając puls, a uśmiechnął się pod wąsem; pewnieć tam już z grubszego chorobę miarkował, bo bardzo podejrzliwie na ręce p. Alexandra brzuch ściskające spozierał. — Doktorze, wyjąkał p.Alexander, a po każdem słowie odpoczywał. . . Doktorze. . . okropne bóle. . . . rznięcie w brzuchu. . . . zawrót głowy. . . . ciśnienie. . . . o jej. .

— A po czem to? spytał doktor. Co pan jadł na obiad?

P. Alexsander błysnął oczami ku pytającemu. — Odrobinkę, doktorze, odrzekł; zważ konsyliarzu była zupa z piwa, ale gęsta ze śmietaną i jajami, potem porcyjka flaczków. . . potem sztuka mięsa w musztardowym sosie. . . potem duszona pieczeń ze śliwkami. . . moja ulubiona. . . potem jeszcze coś, alem nie ruszył już, nieprawda Walerko? zwrócił się do żony. Ale doktor nie czekał na odpowiedź, tylko podniósł się poważnie z krzesła, stanął uroczyście nad sofą i rzekł: — I teraz Panu mgło? nieprawda? — Bardzo! — I ciśnie Pana w brzuchu? — Okropnie! — Ale to nie takie pospolite ciśnienie, tylko jakby gryzło coś, niby się coś wgryzało? nieprawda? — Kubek w kubek, jak mówisz, doktorze, o jej. . . . — Wiem już wszystko, wyrzekł zwolna! Ale — tu odwrócił się do żony p. Aleksandra, stojącej z chustką w

ręku do łez — ale pani niech się nie zlęknie, to choć choróbsko jest groźne, ale uleczalne; zapewniam że uleczalne, byle mąż poddał się mej kuracyi. — O jej! o jej — wrzasnął chory na te słowa — Jak gryzie! — Pani Walerya przyłożyła chustkę do oczu. — Wiadomo zapewne państwu, tak począł doktor, że od czasu jak doktor Koch... — Ten z Piły?... przerwał chory — Znałem, znałem.... miał dobry żołądek, a żona jego sławnie przyrządzała huzarską pieczeń.... — Nie, to inny Koch, mówił doktor dalej. — Otóż od czasu jak doktor Koch zajął się mikrobami cholerycznemi, doktorzy więcej na żyjątka uważają i w różnych chorobach je obserwują. Ja sam jestem zdania, że wiele chorób wewnętrznych powstaje przez spożycie z potrawami lub wciągnięcie z oddechem takich niedostrzeżonych pyłków mikrobowych. — I to ja... ja... też... jadłem, jąkał chory... o jej... — Najniezawodniej, stanowczo odrzekł doktor, ale ratunek jest możliwy, bylebyś pan słuchał i wykonywał, co powiem...

— Będę słuchał, odrzekł p. Alexander, nieprawda Walerko?

— Otóż najprzód, mówił doktor, coprędzej pan wstań, i nie waż się prędzej położyć, jak o 10 wieczorem. Potem weź pan kij i kapelusz i dalej w drogę. Ruchu panu potrzeba. Pan wiesz, gdzie leży „strzelnica" za miastem na górce. Do tej „strzelnicy" pan co dzień przed i popołudniu musisz pójść, a kiedy wrócisz, musisz pan przyjść do mnie na trzecie piętro i powiedzieć, jak się czujesz. Następnie możesz pan w ogrodzie kwiaty polewać, ganki grabić i co tam się do roboty nawinie. Jeść panu wolno tylko 3 razy dziennie, a na obiad połowę tego, coś zwykle jadł. Jeżeli pan chcesz być zdrowym, to trzeba abyś to przez miesiąc co do joty wypełnił.

P. Alexander aż zaniemówił na całą tę perorę doktora. On chodzić na przechadzkę i jeszcze pod górę, on, który przy wejściu na pierwsze piętro dwa razy odpoczywał, ma drapać się co dzień dwa razy do doktora na trzecie, on ma grabić ganki i kwiaty polewać i jeść połowę tylko!...

— Nie w staniem...doktorze, wyjąkał...nie wstaniem.

— Ha, w takim razie nie mam dla pana lekarstwa, sucho odrzekł doktor i obejrzał się za kapeluszem.

– Doktorku... stój... począł błagać... nie opuszczaj biednego. Słuchaj, panie doktorze, czyby z tą przechadzką i trzeciem piętrem nie szło zmienić?

— Ani literki! stanowczo odparł doktor. Panie! ja biorę wielką odpowiedzialność za życie Pańskie, więc nie mogę lekkomyślnie mej opinii na szwank narażać. A trzeba Panu wiedzieć, że Pańskie mikroby wyrodziły się już na pewien rodzaj smoka....

— Smoooka!.... wrzasnął p. Alexander.

— Tak jest smoka zwanego w medycynie Pigritia vulgaris, (lenistwo pospolite) dokończył doktor. P. Aleksander miał przed wszystkiem, co mu po łacinie powiedziano, wielki respekt, bo języka tego nie rozumiał. Umilkł więc i ukorzył się przed powagą doktorską.

— Poddaję się, rób co chcesz, ale ratuj.

— Za godzinę, musisz pan być w drodze do strzelnicy. Tymczasem panu parę proszków zapiszę, które pan co trzy godziny niech zażyje.

Punktualnie za godziną szedł p. Aleksander na przechadzkę. Robiło mu się jakoś niedobrze, pocił się strasznie, ale gdy wspomniał na smoka, żywiej przebierał nogami i szedł. Do strzelnicy było z ½ mili. Na tej przestrzeni odpoczywał przynajmniej dziesięć razy, ale szedł, a gdy stanął na górze, roześmiał się i machnał kijem jakby w smoka kropnął. Wracał swobodniej, ale trzecie piętro jeszcze go straszyło. Trudno jednak trzeba wchodzić. Minęło i to i jakoś swobodniej powracał do domu. Niejedna kropla potu skapnęła mu jeszcze z czoła, nie raz jeszcze odpoczywał po szosowych kamieniach, nie raz jeszcze złorzeczył trzeciemu piętru, ale musiał przyznać, że kuracya się udawała, bo czuł się wesołym, lekkim i zdrowszym. Po trzech tygodniach bąkał coś doktorowi, że pewnie już smok zdechł. Doktor opukał go, omacał puls, język kazał pokazać i rzekł:

— Smok ci prawda zdechł — ale zostały jeszcze zarodki na smoczęta. Trzeba więc kuracyi dokończyć, inaczej wszystko za nic.

P. Aleksander wierzył święcie doktorowi i chodził re-

gularnie na przechadzki i ganki grabił i drzewo nawet rąbał, w ogóle obudziło się w nim zainteresowanie się dla pracy, stał się i dla ludzi pracujących uprzejmiejszy. A miał okazyą okazać tę uprzejmość licznym lokatorom swym trzech kamienic, którzy się przedewszystkiem z rzemieślników i robotników składali. Znał zresztą pracę, bo sam kiedyś był piekarzem i dopiero spadek po wujaszku uczynił go panem wprawdzie, ale naraził go na smoka!

Czas kuracyi przepisany przez doktora upłynął, a pan Aleksander żył jak podczas kuracyi, aż mu doktor z uśmiechem przypomnieć musiał, że to już koniec.

— Niech sobie tam będzie, odrzekł, widzę, że mi ten sposób życia do zdrowia dopomaga, więc będę go się nadal trzymał a tobie, panie doktorze, dzięki, żeś mi dopomógł.

— Jam tu najmniej zdziałał, odpowiedział na to doktor z uśmiechem, to praca i zatrudnienie uleczyły pana, podczas gdy dawniejsza bezczynność pana chorym i do niczego czyniła. To był ten smok!

— Aaa!....

Kiedy się ta kuracya odbyła trudno dociec, bo p. Aleksander pamiętnika nie spisywał. W każdym razie dość znać dawno temu, kiedy to jeszcze ludzie w smoki wierzyli. Dziś podobno, choć tacy panowie Aleksandrzy wiedzą, że to nie smok, ale lenistwo chorymi ich czyni, żyją po staremu. Świat zwie ich darmozjadami albo pasibrzuchami.....

Zmartwychwstanie w kałuży.

We wsi..... Bartek Hulaka powziął w Wielką Sobotę zeszłego roku chwalebny zamiar odprawić wielkanocną spowiedź i w tym celu poszedł do sąsiedniej wsi, do klasztoru. Zanim jednakże zamiar swój wykonał, wstąpił do karczmy, aby — jak mówił żartem, — wypić jednego na „kuraża,“ boby może nie miał odwagi powiedzieć wszystkiego. Tymczasem z tego „jednego“ zrobiło się więcej, a im więcej pił, tem większe miał pragnienie, które znowu trzeba było gasić i zalewać. Gdy wyszedł z karczmy, zaraz było można

poznać, że sobie „jednego kupił,“ bo nogi były chwiejne, i zataczały różne półkoła. W takim stanie zatoczył się do klasztoru, aby tamże, — jak mówił, — z którym z ojców poszeptać. Spowiednik naturalnie od razu zmiarkował, co się świeci, i nie chciał spowiedzi jego wysłuchać, boć to i najgłupsze bydle przyzna, że do sposobów przygotowania się do spowiedzi upicie się wcale nie należy. Po przyjacielsku przemawiał do niego spowiednik i napominał i prosił go, aby przyszedł na inny raz, w takim czasie, w którymby jeszcze nic nie miał pod czupryną. Łagodne słowa jątrzyły tylko hultaja, i począł rezonować, że skoro się nie ma spowiadać, to się też i bez tego obejdzie, że nikomu do tego, czy i co pił, bo jeżeli pije, to tylko za swoje pieniądze, a nie za cudze itd. Z trzaskiem i hałasem wyszedł z kościoła i — naturalnie — znowu prosto do karczmy. Tu wypił lampkę likieru, co go wcale nie otrzeźwiło. Przy tym samym stole, co on, siedziało dwóch zbijobruków z tego kalibru, co to taki czuje pociąg do kościoła, jak wściekły pies do wody; tym opowiadał swoje niepowodzenie w kościele, wskutek czego rozpoczęły się drwiny i szyderstwa z Sakramentu Pokuty, następnie zaczęto wymyślać na księży i na religią, aż ostatecznie skończyło się na takich mowach bluźnierczych, jak gdyby suflera mieli z samego piekła. Przytem popijali, aż się ściemniło, a pijany Bartek zabrać się musiał do domu.

Na drugi dzień było pierwsze święto Wielkanocy. Na wschodzie zaczęło się niebo rozjaśniać, ale leniwo tylko dzień świtał, bo nad górami piętrzyły się czarne chmury, a w dolinach gęste błąkały się mgły, nawet deszczyk drobny przepadywał. Jeszcze nie było niezupełnie jasno, gdy dwie dziewczyny szły tudotąd do miasta. Wielkim bawełnianym parasolem zasłaniały się przed zawczesnym dyngusem nieba.

„Cóż to tam leży w strumieniu?“ zapytała jedna z nich i podniosła parasol, aby lepiej módz patrzeć. Wytężyła wzrok w tę stronę, gdzie strumień błotnisty leniwo płynął około starych resztek sterczącego muru, tworząc szeroką kałużę, z drugiej strony otoczony kilkunastu wierzbami.

„„Gdzie?““ zapytała towarzyszka.

„Czy nie widzisz? Tam za trzecią wierzbą.“ I wskazała ręką w tę stronę.

„„Widzę,““ odpowiedziała druga i poszła kilka kroków na stronę, aby lepiej módz widzieć. Naraz zbladła, serce jej zakołatało, jak gdyby chciało rozsadzić klatkę piersiową, włos jej stanął dębem i dreszcz ją przeszył od stóp do głowy.

„„Mój Boże! To trup!““ krzyknęła drżącemi usty.

„Co ty mówisz!“ zawołała pierwsza.

Obie zbliżyły się do miejsca. W kałuży leżał cały pokryty błotem, okropnie wzdęty — hulaka Bartek. Zabłądził w ciemności i w pijaństwie śmierć znalazł w strumieniu. Poszedł w wielką sobotę do wielkanocnej spowiedzi zalany gorzałką, a zmartwychwstanie obchodził — w kałuży.

SIÓDME: NIE KRADNIJ,
czyli
Jak to poszło Bartkowi i Kubie.

Przed niewielu laty żyło w Prusach zachodnich, niedaleko Chełmna, dwóch wyrobników; z tych jeden zwał się Bartek, a drugi Kuba. Mieszkali obok siebie, a każdy z nich miał chałupkę i kawałek ogrodu. Ponieważ trudno byłoby im z tego wyżyć, więc musieli chodzić na zarobek, aby siebie, żonę i dzieci utrzymać.

Kuba, był człek rzetelny, poczciwy, z tego mianowicie względu na szacunek zasługujący, że ani tyle, co czarne za paznokciem, nikomu nie ruszył. Wiedzieli wszyscy o tej jego cnocie, dla tego też każdy chętnie brał go do pracy, choć nawet dosyć powoli robił. Zaś Bartek był chłop zwinny, sprytny, dowcipny, ale cóż, kiedy, jak powiadają, „miał smołę na rękach,“ więc nieraz mu się cudza własność przylepiła. Jeżeli co znalazł, to już nie oddał, bo mówił, że znać Pan Bóg dla niego przeznaczył. Nie byłcić Bartek z gruntu złym człowiekiem, ale na nieszczęście w młodości nie odebrał dobrego wychowania, a mianowicie nie uważali na to rodzice, że Bartoszek robił szkody w obcych ogrodach i sadach, zatem Bartek przywyknął do złodziejstwa; a nałóg

drugą naturą jest jak wiadomo. Oj rodzice, rodzice, pilnie na to zważajcie, aby wasze dziatki nigdy nic nie brały, czyli nie kradły, jak się to właśnie nazywa, bo jak zaczną na nożyku, skończą na haczyku, tj. haku, czyli: szubienicy.

Bartosz więc nie robił sobie wcale skrupułu, aby jeżeli tylko nikt nie widział, nie capnąć czego, jeźli było pod ręką. Nieraz więc w lesie ściął chójkę, to złapał kurę lub gęś, w mieście zwędził czasem parę butów, kawał materyi, lub co tam było. Na nieszczęście miał żonę niedobrą i która zamiast go odwodzić, jeszcze zachęcała do kradzieży, bo była też to zresztą leniwa kobieta, którą i mąka w rękę kłuła.

Im dalej w las, tem więcej drzew, tak i z naszym Bartkiem, coraz to bardziej przywykał do kradzieży. Udawała mu się dosyć długo sztuka, sądził więc, że się nigdy nie wydadzą jego sprawki, a o tem, że Pan Bóg go skarze, czasem tylko pomyślał. „Ej, toć ja nie złodziej z rzemiosła," mówił nieraz sam do siebie „czemu zresztą inni więcej mają, anieżeli ja? Poprawię ja się jeszcze, wszak mam czasu dosyć, a małe to jeszcze drzewko, albo może i nie ziarnko jeszcze, z którego będą deski na moję trumnę."

Tak myślał niegodziwy Bartek, i tak też wielu ludzi myśli, odkładając na później poprawę, a czas mija szybko; ani się niejeden grzesznik nie spostrzeże, a już oto na łożu śmierci, a wtedy zapóźno poprawa.

Zaczął się coraz na większe puszczać kradzieże Bartek, i tak ukradł gospodarzowi Frąckowi szefel żyta, „bo to niesłusznie," mówił, „aby on miał tyle zboża, a ja nic." Lecz wydała się kradzież, bo gdy sołtys zaczął rewidować domy, znalazł u Bartka żyto, a że nie mógł wykazać, zkąd je miał, więc zaskarżono go do sądu. Wyrok wypadł, że ma siedzieć cztery tygodnie w więzieniu.

Płakał Bartek, idąc do kozy, boć to wstyd kraść i siedzieć za to w dziurze. Przyrzekał w duszy poprawę, postanowił już nic odtąd nie ruszyć. Po czterech tygodniach wypuścili go na wolność, ale Bartek ledwie mógł oczy podnieść ze wstydu. Kilka tygodni nic nie kradł, zdawało się więc, że już poprzestanie brzydkiego nałogu.

Nie kradł Bartek, ale nie tak z przekonania, jak raczej z bojaźni kary. Bo skoro tylko wyszedł z ciupy, już zapomniał o poprawie. Czekał więc tylko na sposobność, aby co porwać.

Najprzód przedsięwziął sobie, nic nie kraść we wsi, w której mieszkał, tak, jak i wilki nie rabują w pobliżu gniazda, w którem mają szczenięta. Chodził o granicę do roboty, aby temprędzej co zwernąć. Pracował na dnie u pewnego pana. Kiedy mu raz tenże wypłacał, wtedy Bartek upatrzywszy dobrą porę, gdy pan nie patrzał, porwał prędko talara z kupy pieniędzy, które leżały na stole. Udała się sztuka, choć mu serce drżało. „Ho! ho!“ pomyślał, „to pójdzie wszystko jak po maśle.“

Owa kupa pieniędzy, którą widział u tego pana, nie dała spać Bartkowi. „Co, ten łotr ma mieć tyle pieniędzy, a ja bez grosza? Jestże to sprawiedliwość? i nie ma człowiek kraść, gdy jeden ma wszystko a drugi nic.“ Zapomniał głupi Bartek, że nie bogactwa stanowią szczęście człowieka, że nieraz ubogi, cnotliwy człowiek daleko szczęśliwszym od możnego pana, który mieszka w złocistych pałacach. Kto się Boga boi, pracuje szczerze i przestaje na małem, ten rzadko cierpi biedę, a choć mu czasem dokuczy niedostatek, to prędzej, czy później Bóg go pocieszy. Tylko zapracowany kawałek chleba smakuje, tylko praca przy cnocie sprawia spokojność sumienia.

Tak więc Bartek zaczął przemyśliwać nad tem, aby zgwizdnąć panu te pieniądze. Lecz sam nigdyby tego nie dokonał, więc szukał spólnika. Udaje się więc do Kuby, który właśnie wtedy chorując, cierpiał wielką nędzę.

„Kubo!“ rzekł Bartek, „cierpisz biedę, jabym ci poradził, żebyś nie potrzebował tak karwęczyć,“

„Jeżeli nie ma nic złego, to i owszem mój Bartku, tylko naprzód ci powiadam, że o złodziejce ani słuchać nie chcę.“

Bartek. „I któżby o tem myślał. Widzisz, pan o granicę ma dużo pieniędzy, a jemu choćby i ukraść to nie grzech, bo on Niemiec. Wiesz co, poślibyśmy razem, tybyś

nic nie potrzebował brać, tylkobyś dawał baczenie, czy kto nie idzie, a już resztę zdaj na mnie. Znam ja wszystkie prześpiegi, mam wytrychy; z oknem też sobie umiem poradzić, więcby się sztuka udała. Tybyś, broń Boże, nic nie brał, a jabym ci potem tak dał, lub pożyczył parę talarów. He, Kubo, rozumiesz?"

Kuba. „O niegodziwy człowieku, kiedy cię i więzienie nie poprawiło! Więc ty się nie boisz Boga, jeno chcesz kraść podawnemu! Ach, upamiętaj się człeku, bo cię Pan Bóg ciężko skarze. A mnie nie namawiaj do kradzieży, bo wolę iść żebrać lub z głodu umierać, niż cudzą własność ruszyć."

W podobny sposób długo Kuba Bartka przekonywał, zachęcając go do poprawy. Bartek udał skruszonego, i mówił, że już nie będzie się puszczał na kradzieże.

Ledwie wyszedł od Kuby, tak dalej przemyśliwać, jakby to zacapić te pieniądze. Jakoś niechcący wstąpił do karczmy. Tam wychylił jeden i drugi kieliszek, aż mu raźniej zrobiło się. Patrzy, aż tu widzi Hermana, który z nim razem robił. Dalejże więc z nim w pijatykę, i tak przepił prawie całego skradzionego talara.

Niedługo, tak zaprzyjaźnił się z Hermanem, że byli jak rodzeni bracia. Od słowa do słowa, przyszło nakoniec do tego, jakby ukraść owe pieniądze. Rada w radę, aż się nakoniec umówili, a Herman jeszcze przyrzekł trzeciego wyszukać, kompana, a w trzech, mówił, pójdzie doskonale.

Ten trzeci był Frydrych, arcyzłodziej, a nawet rabuś, sztuka przebiegła, bo żył tylko z kradzieży. Ciężyło nawet na nim podejrzenie, że już zabił niejednego człowieka. Ten Frydrych dostawszy Bartka w swoje szpony, wykierował go na zupełnego zbrodniarza.

Zmawiała się tedy ta trójka, aby okraść pana, a nim to nastąpiło, kradli gdzie indziej. Jakoż ukradli krowę i wyprowadzili do lasu, tam ją zarznęli, a mięsem się podzielili. Jakiemuś żydowi w gościńcu porwali szufladkę z pieniędzmi, i tak dalej.

Nakoniec udali się w nocy do owego pana, który miał tyle pieniędzy. Wyważyli okna, a Frydrych i Bartek weszli

do pokoju. Dostali się do pieniędzy, które były zapakowane w dwóch potężnych workach. Porwał Frydrych za obydwa; ale i Bartek chce wziąść jeden. Frydrych nie chce puścić, i tak przyszło do zwady. Wtem ruszyło się coś w drugim pokoju, dalejże więc obaj do okna. Frydrych wyskoczył pierwszy, ale łbem uderzył o kamień, i nogę przy tem złamał, tak, że leżał na ziemi, jak nieżywy. Bartek pochwycił za worek pieniędzy, i w nogi mój drogi. Pędził co miał sił, ale i za nim goniono. Zdyszany przybiegł nakoniec do wsi, gdzie mieszkał, ale w dali widział ścigających. Cóż robi niegodziwy Bartek? Oto dziurą w oknie rzucił do mieszkania Kuby wór pieniędzy, a sam wpadł czemprędzej do swej chaty i położył się w łóżko. Skoro przybiegli goniący, zbudzili sołtysa i zaczęli szukać po chałupach. Najprzód zaczęto od Bartka. Ten klął okropnie, że u niego szukają, choć on nigdzie się nie ruszył. „Idźcie do Kuby, tam może co znajdziecie, bo niedawno widziałem, że zkądsić przybył.“

Poszedł sołtys do Kuby, jakoż znalazł ów worek pieniędzy. Kuba schwycił się za głowę z podziwienia, nie mogąc pojąć, zkąd, się tu wzięły pieniądze. Zaraz go związano i odstawiono do Chełmna, a tam go osadzono w więzieniu. Nieraz mój Boże! cierpi niewinny za winnego.

Rozpoczęło się śledztwo. Frydrych był tak chory, że nic nie wiedział o świecie, a Herman uciekł gdzieś daleko. Bartek musiał stanąć na świadki, że widział Kubę. Już, już chciał przysięgać, ale jednak odstąpił od przysięgi mówiąc, że widział sprawiedliwie jakiegoś człowieka tej nocy, ale nie może powiedzieć, że to był Kuba.

Już miał Bartek odchodzić, gdy wtem doniesiono sędzi, że Frydrych w malignie wspomina jakiegoś Bartka. Zbladł Bartek, jak ściana, i słowa nie mógł wymówić. Zaprowadzono go przed Frydrycha, a ten, choć w gorączce, zawołał: „Oddaj Bartek pieniądz z worek — verfluchter Kerl, ich werde dich todt“ — tu przestał, ale już było dosyć powodów, że Bartka wtrącono do dziury. Znaleziono też przy onym dworze tabakierkę Bartka, a nakoniec schwytano Hermana, który, chcąc się ocalić, wydał wszystko.

Niedługo wypuszczono Kubę, bo wszyscy zeznali, że to człek poczciwy, że nigdy nic nie kradł; a mianowicie stróż ze wsi przysiągł, że nie widział Kuby, aby tej nocy wychodził lub przychodził, ale, że widział jakiegoś uciekającego człowieka, który był bardzo podobnym do Bartka.

Skoro Frydrych nieco wyzdrowiał, wtedy wydał wszystko, a nakoniec Bartek rad nie rad, wyjawił prawdę. Niedługo zakończył życie Frydrych we wielkich bólach, bo czaszkę miał rozbitą, nogę i jedno żebro złamane. Okropny był koniec tego zbrodniarza.

Bartek został skazany na dziesięć lat więzienia w domu poprawy, bo oprócz tego wykryły się inne jego kradzieże. Odstawiono go do Grudziądza, tam obleczono go w kurtkę aresztancką i do ciężkiej przeznaczono roboty.

Kuba więc był uwolniony, ale gryzło go niemało, że musiał siedzieć niewinnie w więzieniu. W najbliższą niedzielę kapłan na kazaniu wspomniał o losie Bartka, a zarazem postawił za wzór Jakuba poczciwego, który musiał nie winnie ponosić cierpienia. Wszyscy głęboko wzruszeni, spojrzeli na Jakuba, a ten płakał rzewnie rozczulony.

Po kościele zaprosił sam dziedzic Jakuba i jego żonę na obiad. Wymawiał się Jakub, ale gdy i ks. Proboszcz do tego zachęcił, więc udał się do dworu. Pan i pani byli nader dla Jakubów uprzejmi.

Miał Jakub kilkoro dzieci. Pani zaraz wzięła jednę dziewczynkę na wychowanie, dwóch chłopców zaś dał pan uczyć rzemiosła; a jeden, że się dobrze uczył, więc oddano go do szkół do Chełmna. Chłopiec uczył się dobrze, zatem wkrótce dostał wsparcie z Towarzystwa Naukowej Pomocy, które wspiera ubogą, dobrze się uczącą młodzież.

Jakubowi widocznie Bóg błogosławił. Miał kilka koszek z pszczołami, otóż tak mu się szczęściło, że posiadał kilkadziesiąt uli, a co rok zbierał ładne pieniądze za wosk i miód.

Dobry Jakub bardzo bolał nad Bartłomiejem. Wybrał się tedy do Grudziądza, aby go odwiedzić. Bartłomiej zalał się rzewnemi łzami, ujrzawszy Jakuba. Przepraszał go sto-

krotnie, że się stał przyczyną, iż go uwięziono. Jakub oświadczył, że nie ma żadnego doń żalu, tylko pragnie zbawienia jego duszy. Prosił więc na miłość Boską Bartłomieja, aby szczerze się poprawił. Jego proste, z głębi serca idące słowa, uczyniły takie wrażenie na umyśle Bartłomieja, że i on zatęsknił z duszy i serca do Boga — i w tej chwili zwyciężył dobry anioł w jego duszy. Podziękował Jakubowi za dobroć serca i oświadczył, że usłucha jego rady.

Jakoż Bartłomiej stał się odtąd innym człowiekiem. Dawniej był hardym, opryskliwym, nie słuchał dozorców, więc nieraz dostał karę. Teraz zmienił się zupełnie. Pracował ochoczo, był posłusznym, to też niedługo polubili go dozórcy, a Bartłomiej coraz się miał lepiej.

Po pięciu latach wypuszczono Bartłomieja z więzienia. Udał się do rodzinnej wioski. Żona już nie żyła, tylko została córka, którą wziął na wychowanie z litości Jakub. Bartłomiej wyuczył się w więzieniu krawiectwa, co mu łatwo przyszło, gdyż miał pojętność do wszystkiego. Rozpoczął tedy swe rzemiosło, a że dobrze i tanio robił, to miał roboty dostatkiem. W kilka lat anibyś nie poznał Bartłomieja, tak się zmienił i takim był porządnym człowiekiem.

Poczciwy Jakub doczekał się tej pociechy, że syn jego został księdzem. Bartłomiej do końca życia nie zboczył z drogi cnoty.

O kochani czytelnicy! naśladujcie przykład dobrego Jakuba, a jeżeliście zgrzeszyli, jak Bartłomiej, to też się poprawcie. Jeżeli widzicie brata na drodze występku, starajcie go się nawrócić. Mianowicie zaś dążcie do bojaźni Bożej i do oświaty. Czytajcie dobre książki i pisma czasowe, nie żałujcie na nie parę groszy, bo grosz, na pożyteczne dzieło obrócony, więcej sprawia pożytku, niż liczne talary. Oby raz ustały wszelkie występki i grzechy, a mianowicie pijaństwo i kradzież, między polskim ludem!

Twój ojciec i twoja matka żywili cię przez dziesięć lub dwadzieścia lat twego życia, — cóż jest naturalniejszego, abyś z kolei ich żywił przez dziesięć lub dwadzieścia ostatnich lat ich życia. — Jestto logiczna wzajemność. Jestto dług twej młodości, który ich starości wypłacasz.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Historyk Euzebiusz pisze: „Gdyby o tem kto inny mówił, słuchacze ledwie by uwierzyli. Ale ponieważ cesarz zwycięzki nam, którzy tę historyą piszemy, długo potem to opowiadał i przysięgą stwierdził, któżby mógł o tem wątpić.“ Ale Konstantyn jeszcze nie rozumiał tego zdarzenia a jak do pojęcia tego zdarzenia przyszedł, tak historykowi Euzebiuszowi opowiedział: Konstantyn mówił, że długo się zastanawiał, jakie to zjawisko miało znaczenie. Gdy tak nad tem się zastanawiał, przyszła noc a we śnie ukazał mu się Chrystus, który trzymał ów pokazany na niebie znak i rozkazał mu, aby tak jak był widziany, go odrysowano, bo mu będzie w bitwach zbawiennym. Nazajutrz rano, tak opowiada Euzebiusz, Konstantyn wstał, opowiedział swój sen przyjaciołom, zwołał artystów, siadł między nimi, opisał im co widział i kazał taki znak zrobić. Tego znaku zbawienia używał Konstantyn zawsze we wszystkich wojnach, nazwano ten znak *labarum*. Powierzono go 50 wybranym żołnierzom; w każdej bitwie kazał Konstantyn ten znak zanieść, gdzie było największe niebezpieczeństwo a nigdy się w nadziei nie zawiódł. Po wielu bitwach, które Konstantyn stoczył, nie było wypadku, aby kto z tych którzy nieśli *Labarum* był zraniony. Potem zażądał Konstantyn dokładnego objaśnienia tego zdarzenia i radził się różnych osób między innymi biskupów i kapłanów i pytał się: Kto to jest tym Bogiem, który mu się objawił i jakie ma ten znak znaczenie. Na to biskupi odpowiedzieli: Tym Bogiem jest jednorodzony syn Boga jedynego, obok którego żadnego nie ma. A znak który widziałeś jest znak zwycięstwa, które odniósł nad śmiercią, gdy na ziemię przyszedł. Teraz Konstantyn dał sobie naukę kościoła katolickiego jaśniej wyłożyć pod przewodnictwem kapłanów otworzył księgę Pisma świętego, starał się sumiennie poznać wiarę chrześciańską, na którą też szczerze się nawrócił. To nawrócenie Konstantyna miało miejsce w r. 312 po Nar. Chr.

Z wesołą ufnością Konstantyn prowadził swoją armią na południe przez Mont Cenis, gdzie była droga wygodna i prędzej przyszedł na równinę górnych Włoch, nim Maxencyusz został w Rzymie uwiadomiony, że Konstantyn z Gallii wyruszył. Forteca Seguscum, teraz Zuza, została przez wojsko Konstantego zdobytą: gdy wkroczono do miasta Konstantyn otaczał opieką bezbronnych obywateli i uratował ich od śmierci a miasto od spalenia. Teraz Konstantyn puścił się dalej w drogę i przyszedł na równinę do miasta Turynu, gdzie go czekało wojsko dobrze uzbrojone i wyćwiczone, którego główną siłę tworzyła ciężka kawalerya. Jaśniało Labarum z napisem Chrystusa, gdy wojska na siebie uderzyły a wkrótce wojsko Maxencyusza poszło w rosypkę. Żołnierze uciekający biegli do miasta Tarynu, ale bramy przed nimi zamknięto. Konstantyn odniósł świetne zwycięstwo i jak zwycięzca w Turynie został przyjmowany. Po tak świetnym rezultacie wszystkie miasta leżące pomiędzy rzeką Padwą a Alpami poddały się Konstantemu. Była jednak jeszcze jedna wielka przeszkoda na drodze do Rzymu, albowiem około Werony stało wojsko pod dowództwem Rurika Pompejana bardzo zdolnego wodza. Konstantyn dał swojemu wojsku w Medyolanie kilka dni odpoczynku a potem prowadził je ku Weronie. Miasto to jest z trzech stron zamknięte przez Adigę, rzekę bardzo gwałtowną, przez którą Konstantyn wojsko swoje musiał przeprowadzić, ażeby się do czwartej strony muru miasta przybliżyć. W drodze do Werony spotkał się Konstantyn z konnicą wysłaną przez Pompejana, ale która wkrótce się musiała cofnąć i do Werony uciec. Przeprowadziwszy wojsko przez rzekę Adigę zaczął oblężenie miasta, które dostatecznie było w żywność zaopatrzone. Pompejan zrobił wycieczkę z miasta, został jednak odparty. Potem Pompejan uciekł z miasta nie dla tego, aby się ratować, lecz aby w innych miastach nagromadzić wojsko i je ku Weronie prowadzić i aby Konstantego z dwóch stron napaść przed murami miasta, chcąc go w ten sposób pobić. Bitwa rozpoczęła się wieczorem, po obu stronach walczono mężnie do późnej no-

cy. Jak zawsze tak i tą razą Konstantyn, który walczył pod chorągwią Chrystusa został zwyciężony. Pompejan znalazł śmierć na polu bitwy a jego wojsko poniosło wielką klęskę. Miasto Werona poddało się a Konstantyn oblężonym darował życie, ale aby im przeszkodzić w dalszem braniu udziału we wojnie przeciwko sobie, kazał z ich mieczów lać kajdany, w które kazał ich okuć i umieścić w dwóch oddzielnych więzieniach. Teraz zwycięzcy droga do Rzymu była otwartą. C. d. n.

Cześć oddawana poczcie w Indyach. Poganie indyjscy są jeszcze zupełnie ciemni, i czego zrozumieć nie mogą, tłumaczą sobie według swego wyobrażenia o bogach i bożkach. Dla nich urządzenie poczt jest nie zrozumiałem. Nie może Indyjczyk pojąć, jakim sposobem list włożony do skrzynki, po niejakim czasie dojdzie adresata w oddalonej gdzie stronie. Myślą więc, że w skrzyneczce siedzi ukryty jakiś duch, albo nawet bożek, który się ekspedycyą listów zajmuje. Dla tego też Indyjczyk przechodzący mimo takiej skrzynki, nie zaniedba pomodlić się po swojemu i uczcić ukrytego ducha. Pewien taki poganin włożył swój list w skrzynkę, a potem głośno krzyknął w nią imię adresata, aby o tem owego ducha powiadomić. Inny mając oddać list, zdjął już w niejakiem oddaleniu swe obuwie, potem odprawił swe modlitwy, a dopiero wpuścił list w skrzynkę. Musiał to być ważny list, gdyż biedakowi zdawało się, iż zamało czci jeszcze oddał urojonemu bóstwu, więc dobył kilka drobnych pieniędzy i położył je na ziemię, jako ofiarę. Wtedy dopiero oddalił się z takiem samem uszanowaniem, z jakiem się zbliżył.

Jakie ofiary pochłaniają wojny? Wojna krymska pochłonęła 750,000 ludzi: włoska (w roku 1859) 45,000; szlezwiska 3,000; austryacko-pruska 45,000; meksykańska 65,000; francuzko niemiecka 215,000; turecko-serbska 25,000; turecko-moskiewska 600,000 amerykańska 800,000; a zatem pochłonęły wojny ostatnich 25 lat, według statystycznych wykazów: 2,548,000 ludzi, nie wliczając w to wymordowanych bezbronnych, kobiet i dzieci, ani tych, co pomarli wskutek zaraźliwych chorób, głodu i innych następstw wojny! Co się zaś tyczy pieniędzy, kosztowała wojna krymska 8,500,000,000 franków; wojna włoska 1,500,000,000 wojna amerykańska 37 tysięcy milionów; szlezwicka 175 milionów; austryacko-pruska 1,650 milionów; meksykańska tysiąc milionów; niemiecko-francuzka 12 tysięcy 500 milionów; turecko-moskiewska 6 tysięcy 250 milionów, a zatem kosztowały wojny ostatnich 25 lat, lekko licząc: 68 tysięcy, 575 milionów franków! Jestto suma, którą łatwo wymówić, ale której pojąć trudno, bo gdyby kto na sekundę 3 liczby wymówił i bez wytchnienia dniem i nocą liczył, potrzebowałby blisko 725 *lat*, ażby doliczył do tej liczby: 68,575,000,000!